NAD POZIOMY

Listopad—Grudzień ROK VI

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie i Oświęcimiu.

Nr. 2-3

Treść Numeru:

Cena 40 gr

NAD POZIOMY

MIESIĘCZNIK SZKÓŁ ŚREDNICH W CHRZANOWIE I OŚWIĘCIMIU.

ROK VI. LISTOPAD—GRUDZIEŃ 1936. Nr. 2-3

Administrator: Władysław Schittler. Redaktor Odpowiedzialny Prof. Dr Zdzisław Krawczyński. Redaktor Naczelny Zdzisław Drbout.

Modlitwa listopada.

(na cmentarzu „Orląt" we Lwowie)

We mgle cichego, uroczystego w swej zadumie dostojnej poranku listopadowego, majaczą mury Lwiego Grodu. Chłodne, jesienne powietrze ugina się pod brzemieniem uczuć, pod ciężarem dni, dawnych, dni minionych. I rzekłbyś, że miasto żyje w martwocie swych budowli, że oddycha, upaja się chwałą swych bohaterów,- z których krwi wyrosła jego potęga, a którzy żyją już tylko w pamięci potomych.

Zadumał się sędziwy ratusz i utopił wyniosłą głowę w morzu mgieł, jak arcykapłan — ofiarnik, rozmodliła się strzelistością swych wież katedra, w której Jan Kazimierz złożył majestat Rzeczpospolitej u stóp Królowej Korony Polskiej i popłynęła ku niebu pokorna prośba : „ Wieczne odpoczywanie"...

„Wieczne odpoczywanie racz Im dać Panie" — odpowiedziały chórem kościoły całego grodu.

„Wieczne odpoczywanie" westchnęła dusza Lwowa.

I popłynęła modlitwa niesiona wichrem jesiennym aż hen za miasto na cmentarz „Orląt", targnęła jękiem zrozpaczonym o las krzyży i odbiła się głośnym, echem gdzieś u niebios progu:

„Świetlani Wy i piękni, Wy obrońce Lwowa,
Polska wśród relikwij waszą krew przechowa
I ziemię bohaterstwa, co tkwił w niej na wieki,
Z łzą wielką, większą dumą zsypie w swe sąsieki."

Zadrżały listeczki brzóz w zachwycie cudownym, zadrżało złotowłose pacholę w żalu nieutulonym u stóp krzyża klęczące i szeptało drżacymi usty paciorek za duszę tatusia—bohatera! „Wieczne odpoczywanie". I tu u grobu ojca w modlitwi e serdecznej czerpało siłę ducha, wchłaniało wraz z chłodnym cmentarnym powietrzem gorącą miłość Ojczyzny, największy skarb polskiego dziecka. Zew Orląt:

„... ramię pręż, słabość krusz,
Ducha tęż, Ojczyźnie miłej służ"!

utkwił głęboko w sercu kochającym, które odtąd bić miało dla Matki — Polski.

„Baniak" VIII b

Przejdziesz przez Polskę.

(Ku czci poległych w walkach o wolność.)

Przejdziesz przez Polskę...
Kędy rzeźwiący powiew z łąki,
Gdzie rozchylone kwiatów pąki
Pod Bożą manną—lśniącą rosą—
Dar pierwszej woni wokół niosą...
Przejdziesz przez Polskę..
A braci twoich znajdziesz w grobie.

— — — —

Strzępy z ich kości, z ich ciał pył
Życiotwórczą moc zawierają w sobie.
Ich proch powstanie—aby w chwale żył —
Idźcie, doświadczeń przechodząc szarugą,—
One ciała były ducha sługą...
Ledwie z dziecięcych wyrosły lat.
W wieku, gdy każda życia złuda
Wabi, o szczęściu wieszczą cuda,
Już zwyciężyli ciało, świat...
W całopalnym niepodzielnym, darze,
Ojczyźnie miłej niosąc na ołtarze.
Przejdziesz przez Polskę...
Tu dni bez celu, dni motyle,
Wciąż rozpierzchają sny o sile,
A wokół bezwład i posucha...

— — — — — — — — —

Oni niezwyciężeni rycerze ducha...

— — — — — — — — — —

Oni wierzyli w świtu chwile,
Że ich modlitwa wnet się ziści...
Walczyli duchem promieniści,
Przysięgi nie rwąc ni przymierza,
Silni jak piorun, gdy uderza...
Przejdziesz przez Polskę...
Arką przymierza ich trudy i znoje
Wniosą w ojczystych bram podwoje..

— — — — — — — — —

Gdy kwiat w ludzkiej niesiony jest dłoni
W którą stronę kielich swój pokłoni,
Tam rzuca czar upojnej woni...
Tak ich relikwii dar pozgonny
W krąg rozrzuci ofiar powiew wonny...

— — — — — — — — — —

Cześć im oddając, ich zasług pomny,
Przejdziesz przez Polskę...

K. Rudol VIII a

Czarnolas.

Osiem kilometrów w kierunku południowym od miejscowości Garbatki, położonej na linji kolejowej Dyblin-Radom, leży Czarnolas. Piaszczysta polna droga wysadzona poczęści drzewami, oznaczona szlakiem turystycznym biało-niebieskim prowadzi na miejsce gdzie żył i tworzył najznakomitsze swoje utwory, pierwszy natchniony twórca poezji polskiej Jan Kochanowski.

Już zdaleka widać kępkę wysokich drzew i każdy mimowoli domyśla się, że ten czarny las drzew to nic innego jak tylko park Kochanowskich. I rzeczywiście, duża dworska brama wprowadza na drogę, wysadzoną po obu stronach drzewami i krzewami ozdobnymi, wiodąca przed biały marmurowy dwór i kaplicę o skromnym zewnętrznym wyglądzie.

Wchodząc do kaplicy tuż nad wejściem wisi tablica z napisem :

„Przy szczątkach domu Jana Kochanowskiego roku 1826 pobudowała tę kaplicę Księżna Magdalena z Hrabiów Raczyńskich Lubomirska. Ukończoną zaś została i poświęconą w roku 1836 przez Teresę z Książąt Lubomirskich Księżną Jabłonowską, której zwłoki są złożone pod tą Kaplicą w roku 1847, Uprasza się o pobożne westchnienie za duszę ś. p. Magdaleny, Teresy i Maksymiljana"

Wewnątrz w kaplicy—kilka ławek, jeden skromny ołtarzyk, a pod ścianą krzesło po poecie, obite skórą tłoczoną, z rzeźbionym oparciem, ozdobionym herbem Korwin, na ścianie obraz zupełnie zniszczony pochodzący z Kaplicy domowej Kochanowskich.

Wychodząc z Kaplicy w głębi wąskiej alei stoi osłoniony liśćmi obelisk kamienny z popier-

siem Kochanowskiego, przed nim sokół kamienny, a na nim trumienka z napisem „Urszula."

Na froncie obelisku jest wyryty początek trenu XIIIgo, który podaję z zachowaniem pisowni:

Thren.

Moja wdzięczna Orszula,
Bodaity mnie była
Albo nieumierała,
Lub się nierodziła.
Małe pocichy płaczą
Wielkim żalem swoim
Za tym nieodpowiednym
Pożegnaniem twoim.
Omyliłaś mnie jako nocny sen znikomy;
Ktury wielkością złotą
Cieszy smysł łakomy:
Potym nagle ucieczе.

Jakieś dziwne uczucie budzi się w człowieku na widok pamiątek po poecie, staje przed oczyma obelisk, trumna i kamień na którym przesiadywał całe godziny tworząc i mimowoli przychodzi chęć zobaczenia się z nim, ale go niema—zostało ponim dużo—musiał być wielki. I tak zadumany człowiek opuszcza Czarnolas, a z szacunkiem jakby jaką świątynię pamiętamy na wielkiego poetę

* * *

Obecnie dwór czarnolaski należy do p. Antoniego Jełowickiego, dzięki którego uprzejmości każdy zwiedzający jest po „staropolsku przyjęty"

O trochę więcej muzyki.

Ideałem wychowawczym w Odrodzonej Polsce jest nietylko wychowanie dzielnego i fizycznie wartościowego człowieka, lecz także dobrego, pożytecznego i państwowotwórczego obywatela. W tym dążeniu bardzo ważną rolę mogłaby odegrać muzyka, tworzona i stosowana w myśl wskazań wychowania państwowego.

Wszyscy się na to zgodzimy, że muzyka wywiera przemożny wpływ na duszę człowieka; może ona wywołać pewne określone uczucia i tym samym może stać się niezawodnym środkiem wychowania.

W wiekach średnich muzyką zajmowała się tylko wybrana, najwyższa warstwa społeczeństwa i rybałci, więc nic dziwnego że nie mogła ona przeniknąć szerszych warstw społecznych. Dziś rola państwa jest w dziedzinie muzyki nieco większa niż to było dawniej. Dowodem tego są operowe teatry państwowe, państwowe nagrody muzyczne a przede wszystkim państwowe szkolnictwo muzyczne.

W podobny sposób rozumiały muzykę już starożytne narody. W Egipcie, w Chinach, a przede wszystkiem w starożytnej Grecji na miejscu naczelnym, obok wychowania fizycznego, stawiano muzykę. Współcześnie musimy stwierdzić smutny fakt że zainteresowanie się muzyką, tak społeczeństwa jak i młodzieży jest jeszcze bardzo małe. W dobrze zrozumiałym interesie zbiorowym ujęła dziś nowa reforma szkolna w swe ręce wychowanie fizyczne i sport, lecz muzykę postawiła na szarym końcu. Nie można zaprzeczyć, że muzyka posiada wybitne walory wychowawcze. Oddziałowuje ona wprost na uczucie człowieka, kształtuje jego psychikę. Czynne zaś uprawianie muzyki, czyto w zespołach wokalnych, czy instrumentalnych, doskonale kształci poczucie osobistej i zbiorowej odpowiedzialności w sposób nie mniej celny, jak zbiorowe ćwiczenia sportowe. Przez wyrugowanie muzyki z programu szkolnego daje się dotkliwie odczuwać brak zrozumienia muzyki poważnej i szlachetnej wśród młodzieży.

Przede wszystkiem należało by wypowiedzieć bezlitosną walkę t. zw. „piosenkom popularnym" a zwłaszcza refrenom modnych przebojów tanecznych, które wciskają się do uszu młodzieży, obce nam duchem, a przeczące sztuce i podać młodzieży taki repertuar, któryby miał wartość zarówno dla smaku artystycznego jak i oddziaływania na ducha.

Drost Adam, Oświęcim

Wspomnienia z nad Naroczy.

Sto cztery kilometry w kierunku północno-wschodnim od Wilna, leży najpiękniejsze i największe jezioro w Polsce Narocz. Spokojna tafla wody, zajmująca 82 km^2 powierzchni, kończy się dla widza daleko na horyzoncie stykając się z niebem. Woda czysta jak łza-pozwalająca przyglądnąć się gromadom zielono-srebrnych rybek, małżom czerniejącym na dnie a znaczących tylko ślady swych wędrówek wąwozikiem w piasku Cała ta rodzina rybia zażywa błogiego spoczynku i spokoju. Niektóre płocie są do tego stopnia zachwycone błogim spokojem, że wieszają się głową w dół, ogonem do góry trwając kilka chwil nieruchomo. Inna rzecz, że takie pozycje nie podobają się niektórym rybkom no i te zaraz szczypią pyszczkami i trącają łebkami szalonych narkomanów, by ocknęły się i popłynęły z niemi w niekończący się nigdy taniec w śród leniwego, jednostajnego oddechu wody.

Zdawało by się że ta spokojna woda pozostaje zawsze takim niewinniątkiem, nad którem płaczą tylko mewy i rybitwy polujące na ryby potrafi być i inną. Gdy tylko powieje z czarnych lasów przybrzeżnych wietrzyk, w jednej chwili marszczy swoje pogodne oblicze coraz to silniej tworząc w końcu spienione grzywy biegnące jedne za drugiemi do brzegu. Wtedy nabiera jezioro tężyzny, uroku i kołysze się tak długo dopóki wiatr całkiem nie ustanie.

Niewinniątko a zarazem smok pożera rok rocznie kilka ofiar kryjąc je w muł na 40sto metrowej głębi. Dzikie nie okrzesane jezioro nieznające litości dla słabych — głuche na jęki wołających o pomoc, karmiące się życiem ludzkim, nieodstrasza jednak swoich miłośników. Ci niebaczni na krzyże przybrzeżne, puszczają się na jezioro łodziami o wydętych białych żaglach by zetknąć się bezpośrednio z żywiołem, wydrzeć mu trochę piękna nasycić się nim chociażby to miało kosztować życie. Szaleńcy z pieśnią na ustach jaki wasz koniec, zapytałby człowiek nieznający sportu żeglarskiego. Nato mają oni jedną odpowiedź spróbój tylko raz, a zostaniesz tak jak my szaleńcem. I niema na to rady — płyną po grzbietach rozjuszonych fal, przecinając je dziobem, płyną zuchwalcy mający odwagę ujarzmić żywioł dać mu ciężką łódź do noszenia. Ale te dzikie bestje walczą, a niemogąc sobie dać radę wzywają na pomoc szkwał z dzikich lasów. Ten zgadza się wypada z lasu jak wilk na owcę uderza w żagiel kładąc go na wodę, a zwycięska fala bierze w swe objęcia śmiałków, wydziera im z rąk ostatnią deskę ratunku, niesie, rzuca, zanurza, a gdy się już dość nabawi oddaje spokojnej toni na spoczynek. I znowu na brzegu na pagórku otoczonym jodłami wyrasta krzyż symbol męki i męstwa, a pod nim tłum ludzi opowiadających o niesamowitych ciałach zaklętych żołnierzy naroczańskich, które ze złości, że same cierpią zabierają każdego znajdującego się podczas burzy na jeziorze.

Okresówka.

Żałobna skarga w tym wierszu zamknięta
Bo myśl autora smutnym dąży torem,
Bo „Muza Śmiechu” dziś jest zachrypnięta
A Pegaz ledwie obraca ozorem.

Mnie konferencja minęła szczęśliwie
Lecz innym skutków nie przyniosła zdrowych
Niejeden czuje zapewne dotkliwie
„Przedziwne bóle“ na mięśniach lędźwiowych.

Z punktu widzenia patrząc statystyki
To „okresówka“ plon krwawy przyniosła
Aż dwieście „singlów“ z gimnastyki
A i ze śpiewu liczba dwójek wzrosła.

O „najważniejszych“ przedmiotach wspomniałem
A z innych? Liczba „luf“ nie mała
Więc wszyscy śpiewać uczmy się z zapałem
I dbać o rozwój nie ducha — lecz ciała!

Na ten raz dosyć. Już dość plotkowania
Kończę, bo muszę trenować przysiady
Jutro promocja z płaskiego siadania
Jak nie zdam — „rypnę“! Na to nie ma rady!

Kończę, już kończę, bo słów wprost nie staje
Aby wyrazić mój nastrój ponury,
Lecz się nie smućcie — bo jak mi się zdaje
Śpiewu nie dużo trzeba do matury. —

„Baniak“ VIII b.

„Ostatni Mohikanie“
czyli Klasa VIII b.

Po siedmiu latach wiernej tułaczki i ustawicznego pływania z ławy do ławy, z klasy do klasy i gruntowaniu „zawikłanych reguł“, po wielu trudach i zmaganiach, dostaliśmy się wreszcie na najwyższy i najpoważniejszy szczebel wiedzy gimnazjalnej.

Nareszcie ósma! — Ostatni rok! — Matura! Oto trzy zawołania, dźwięczące niby dzwony spiżowe w naszych uszach. Jak pokorne i posłuszne pasterzowi owieczki czekamy, kiedy wrota owczarni otworzą się i wypuszczą nas w świat szeroki. Narazie jednak jeszcze przez sześć miesięcy musimy skubać tą „żółkniejącą już dla nas „trawkę“. Nim opuścimy te mury szkol-

ne i pochłonie nas wir życia, pragnę was Kochani Czytelnicy zapoznać z ósmakami oddziału „b“ i w przybliżeniu skreślić ich szczególne cnoty.

Niektórzy bez tego są znani wśród Kolegów, a nawet Koleżanek Gimnazjum Żeńskiego, lecz przecież są także talenta ukryte, nieznane, nie występujące jeszcze nigdy głośniej na szerokiej „arenie szkolnej“, z powodu swej skromności.

Na pierwszym planie trzeba „posadzić“ „wyrwidęba“ Leona, „rudego budrysa“, o gigantycznej budowie, obraz lwa wśród szczeniaków. Na pauzach sieje on postrach między Kolegami swoją siłą, a nie daj Boże rozgniewać go!! Biedny wtedy ten śmiałek w jego łapach, odpokutuje zawsze ciężko ze swe winy. Chociaż budowa jego wskazuje że powinien zostać atletą, to jednak porzuca tą gałęź sportu — w matematyce widzi przyszłość!

Zaraz za nim siedzi „niebezpieczny“ fizyk, nadzieja i chluba klasy. Podobno przewyższa nawet samego Nettona. Jan mu na imię. Człowiek zamieniony cały w ofiarę i poświęcenie wobec klasy. Raz na ciężkich ćwiczeniach fizycznych, był już jedną nogą na tamtym świecie. Nie umiał wkręcić żarówki i prąd elektryczny kopnął go. Ale to głupstwo wobec przyszłości! Muszę również wspomnieć, że jest on świetnym cyklistą Dzierży tytuł wicemistrza Gimnazjum i pod tym względem góruje właściwie nad Nettonem Ja ze swej strony życzę Janowi fizyko-cykliście dużo szczęścia i sławy. —

Jeżeli piszę już o Janie, to wypada również zachaczyć o Jasia „urwipołcia“ i jego dwóch towarzyszy Kazku i Tadku.

Jasiu potulne „pacholę“, ustawicznie na lekcjach roztargniony, bity jest zawsze przez obu demagów Po swej „promieniejącej“ łysinie. Ma on jedną malutką wadę, a mianowicie taak trrrochę zaccina się, aale brrroń Boże nie jąka się.

Sąsiad jego Kazek, to pechowy człowiek! Nie ma szczęścia do „Łaciny“, która nie może jeszcze do tego czasu poznać jego wrodzonych zdolności.

Chłopak jest ambitny — będzie zdawał niemieckie!
Wykonuje on kolosalne zdolności w klasowych mowach dykcjach i prelekcjach. Po żmudnej pracy uzyskał miano największego „Krzykacza“, no a natchnienie, to fraszka! Dostanie z pewnością po maturze!

Drugi towarzysz „Urwipołcia“ to Yankes, wysłany z stolicy gangsterów Chicago w celach naukowych do powiatowego miasta Chrzanowa.

Dumny jest zapewne z tego, że studiuje u nas i chociaz niby Amerykanin, to jednak maniery ma rasowego Anglika.

Dobrze że nie przyjechał on z Rosji! Wtedy bez wachania powiedziałbym — Komunista! Elegancki ten Lord, stara się wprowadzić najnowsze mody w klasie i z powagą angielskiego doga, strzyżąc pstrokatym wąsikiem, wystrzeża swe kły i pazury opozycji. Zaznaczyć trzeba że niezłym jest śpiewakiem.

Podobno brał lekcje swego czasu u Kniagynina Gdy stanie na stołku z powodzeniem bierze górne „c“. Daj ci Boże szczęście abyś wyciągnął do „d“ i służył bez broni.

Mamy również człowieka bardzo lekkiego i zmiennego jak wiatr, który życie uznaje tylko w przestworzach — pilotem jest.

Po dwóch miesiącach nieobecności, wpadł wreszcie korkociągiem do klasy i narazie pozostał między nami. Typowy pilot: wzrostu średniego i trochę przysadkowaty,

włos jak otwarty spadochron,
oczy strzelające niby karabin maszynowy,
a głos ochrypłego silnika.

Jeszcze na godzinach zdaje mu się chwilami, że jest na lotnisku w samolocie i próbuje bujać w klasie. (Profesorów).

Teraz przysuńmy się trochę bliżej ku przodowi klasy.

Siedzi tam przy pierwszym stole po prawicy, pod samą ścianą. Do niedawna gniewał się ze swym najserdeczniejszym sąsiadem Don Juanem, — o płeć piękną. Lecz przecież nareszcie zmądrzeli. Podzielili się równo i pogodzili. Jest to naprawdę dziwny typek.

Człowiek o silnej woli i jeszcze większej namiętności — zamknięty w sobie jak arka Noego — chodząca opozycja, Waldemaras klasowy, burzyciel pokoju! Ta namiętność jego uwidacznia sie w grze na skrzypcach. Biedni są jego sąsiedzi-lokatorzy, którzy godzinami muszą słu-

chać jak ten „piłuje“ swoje „pudło“. Lecz niech pracuje! Talent ma— więc może coś „wypiłuje“.

Ma jedną wadę— kocha się za często lecz myślę, że czas go z tego uleczy.

Jeżeli już piszę o tym geniuszu, trzeba wspomnieć o jego przyjacielu, sąsiedzie Don Juanie. Ten, to już prawdziwy magik klasowy!

Z najcięższych i najzawikłańszych sytuacyj zawsze jakoś wybrnie, na wszystko ma wymówkę, a prosty lud mu wierzy i wierzy.

Jest to naprawdę talent nieprzeciętny!

Takiego ziemia nie prędko wydaje!

Świetny pianista, akompaniuje nieraz najlepszym siłom Gimnazjum Żeńskiego, niepokonany biegacz, długodystansowiec, następca Nurmiego, wybiera się ponoć za cztery lata na olimpiadę do Tokio, świetny malarz i dekorator, maluje kolegów sadzami z pieca. Taką pierwszą żywą dekoracją był właśnie nasz kochany fizyko-cyklista. Można byłoby pisać o nim jeszcze wiele, a wiele, lecz przecież jest jeszcze jedna bardzo ważna postać, która mu wcale w niczem nie ustępuje, a to Baniak, ostatnimi czasy świeżo upieczony filozof — przedstawiciel Lwowa. Ród jego wywodzi się gdzieś w Podhajcach, gdzie pradziadowie i dziadkowie mieli wielkie posiadłości. Sam Baniak jako siódmy syn z kolei wychował się na Łyczakowie. Gdy go życie trochę „ociosało“, podobnie jak Yankes, ruszył do Chrzanowa na studia. Tu się już w zupełności zaklimatyzował i Lwów pozostał dla niego tylko wspomnieniem.

Biedny chłopak!— Zapewne i Wy Kochani Czytelnicy współczujecie nad jego losem!

I jeszcze jeden o którym warto wspominać, przybył z gór, wielbiciel Makuszyńskiego, sam chce byś literatem, na dowód czego często czytuje z Makuszyńskiego: „Alkohol używany w miarę nie szkodzi nawet w największych ilościach“.— Nie wiadomo czy mu się ta teza spodobała, czy też przemyśla nad wyprowadzeniem antytezy.

Należy jeszcze upamiętnić kilka typków:

Józio Kędzierzawy. tegoroczny kandydat na wójta w Nowej Górze, wieś mu jednak nie odpowiada i przeniósł się do bursy do Chrzanowa.

Dalej idą Staszek i Stefan— amanci z Libiąża, Fryważd, względnie Rafał, mulej maurytański z Krzeszowic, Tadek Jąkała milioner z Chrzanowa, Zielonka niewiniątko z Jaworzna, Franek wyrocznia delficka, oraz Ferdek i Kazek czyli Lelum i Polelum,

Na zakończenie pragnąłbym jeszcze zapoznać Was z trzema przedstawicielami rasy semickiej: Seltenwarenverkaufer Moritz, Federhändler Abracham i Fleischhaber Benek. Po bojkocie potomków Abrachama w Niemczech, przyszła dla nich czarna godzina i u nas w klasie. Zastosowano im malutki „numerus clausus“ w gminie, przesadzono ich wszystkich trzech razem do pierwszej ławy „honoris causa“.

Jedynie Benek podnosi czoło i pragnie ratować siebie i swoich towarzyszy. Trzeba przyznać, że ponieważ jest gorliwym sjonistą nie zdradza komunistycznych zapatrywań. — Wszyscy trzej są zapalonymi sportowcami:

„Benek“— to drugi Ovens. Doskonały sprinter, ale z łaciny i fizyki.

„Moritz“— gimnastyk, specjalista na przyrządach. Ćwiczy świetnie gdy go ze czterech kolegów trzyma, zaś

„Abraham“— fenomenalny gracz, świetny koszykarz, żyje także tylko sportem... handluje w czwartek koszykami.

Takie to postacie tworzą roku pańsko-szkolnego 1936/1937 gwardię ambiturientów klasy VIII. b, sławetnego i Państwowego Gimnazjum Chrzanowskiego.

„Męczyński“
Klasa VIII b.

Ze wspomnień...

Podobno na świecie jest takie przysłowie, że natura ciągnie wilka do lasu. Można go jednak trochę zmienić, a mianowicie głodnego na wycieczce ciągnie plecak (naturalnie... kolegi o ile jest pełny). Może ktoś powie: a to żarłok, ale... proszę mi wierzyć, że jednak tak jest.

Otóż ta zmiana przysłowia, pociągnęła za

sobą nieprzewidziane w programie naszej wycieczki dosyć oryginalne skutki.

Zchodziliśmy już ze szczytu, gdy zaczęło się szybko ściemniać. Chmury obniżyły się bardzo, okrywając nas lepką mgłą, przenikającą swym zimnem aż do szpiku naszych, całodziennem marszem stłuczonych kości.

Cisza panowała dokoła, przerywana jedynie szczękaniem naszych zębów i żałosnym jękiem skręcających się z głodu wnętrzności.

Mieliśmy wrócić za parę godzin (dlatego też nikt sobie nic nie wziął ani „ciepłego" ani też „zimnego") a tymczasem te parę godzin przeciągnęło się w cały dzień.

Jakiś poeta mówił mi podczas obiadu patrz jaki śliczny widok, ach co za cuda — doprawdy temi widokami i tem powietrzem, można tak nasycić swoją duszę i ciało że się za pomina o jedzeniu.

— Dobrze, dobrze, mówię mu : tylko widzisz, nie ruszaj mnie po kieszeni, bo nic tam dobrego poza twoim cudownym powietrzem i moją chusteczką niema.

Cofnął rękę i wykonał jakiś tajemniczy ruch językiem.

Ale naprawdę to już moglibyśmy iść rzekł.

Obeszło się bez jego rady, ponieważ jak już wspomniałem część wycieczki zchodziła ze stromego zbocza, a i my ruszyliśmy wnet za nimi Jednakże wzięliśmy taki rozpęd, że wysunęliśmy się na czoło i po chwili wycieczka znikła za nami w kosodrzewinie i mroku, który z każdą chwilą gęstniał.

Było nas ośmiu. Z wyższych klas pięciu, a z trzeciej nas trzech, to znaczy Kazek B, Mietek. J i ja.

Dlaczego poszedłem z nimi do dzisiaj naprawdę nie wiem. Jedyna odpowiedź na to pytanie, to chyba przeczucie przygody.

Szliśmy szybko, cicho, każdy z uwagą patrzył za znakami, aby czasem nie zabłądzić. Ale te, w mroku zniknęły nam wnet z oczu.

— Słuchaj Franek, mnie coś się widzi, że przedtem szliśmy z prawej strony a my teraz idziemy w lewo.

— Nie bój się, już tu byłem to znam drogę.

Cisza zapanowała wśród nas, słychać było tylko dudnienie ziemi pod stopami i szelest kamyków potrąconych w ciemności. Dokoła las wielki, dostojny w tyj ciszy, szumiący swoje wieczorne modlitwy. Po chwili weszliśmy w jakieś wysokie trawy, sięgające nam do piersi, w olbrzymie liście podbiału, podobne do stołów na których duchy leśne spożywają posiłek z rosy, leżącej na nich perełkami.

Ale coś się musiało stać, ponieważ naraz zatrzymali się ci, co szli pierwsi.

— Franek a widzisz, mówiłem ci że źle idziemy, no i..... zbłądziliśmy.

— Tak mi się zdaje. .

— Wróćmy się...

— Ani myślę, idziemy dalej.

Na słowo -zbłądziliśmy- dusze nasze wyszedłszy z drżących od zimna głodu i strachu ciał, usiadły na naszych ramionach i ani myślały o powrocie.. Wprawdzie ja osobiście z niemi nie rozmawiałem, ale jednak moja jakoś zdecydowała się na powrót. Musiało biedactwo przemoknąć i zmarznąć. Więc mówię jej — ogrzejże się, jak ja się już nic nie boję, to i się nie bój. Jest nas tu tylu że nic się nam stać złego niemoże.

Wydawało mi się w tej chwili, że jesteśmy zbójnikami, którzy uciekli przed pogonią w obce lasy. Te jednak poznawszy w nich swoich synów, zaszumiały z mocą: niedamy uczynić wam krzywdy. A głaz oderwany niewidzialną siłą od skały, spadając powtarzał: nie... nie... nie... aż rozbity porwał za sobą swych braci i runął z nimi lawiną w doliny z hukiem i trzaskiem, grożąc każdemu, któryby śmiał jego przyjaciołom uczynić krzywdę.

A las w ciszy tego wieczoru, modlił się do Boga — nie za siebie bo potężny, ale za nas słabych, których Bóg powołał na jego królów. A może on dziękował tylko że nas zobaczył, o których opowiadali mu przodkowie, leżący teraz cicho u stóp jego. porośnięci mchami i z wytoczonemi wnętrzami.

— Te mały, weź ten aparat, tylko go nie zgub, zachuczał mi nad uchem bas kolegi Józka, (tak nazywali go starsi) przerywając mi moje rozmyślania Nagle usłyszeliśmy głos jakgdyby z piwnicy . . .

— O... o ... e.., moja noga...

— Antek.... Antek... tu jest jakaś dziura...

— Tak. ale nic nie widzę

— Ja także... choć oko wykol...

— A czy ja wam mówię, że ja co widzę?..

— No to jakże?.,.

— Czuję... i to na własnej skórze, bo spadłem tu do jakiejś dziury.., Ale wiecie, jak tak dalej pójdzie to zamienimy się w karłów. —

— Nie bredź... a to niby dlaczego...

— Stachu on musi mieć gorączkę... do licha.

— Niestety nie, ale skręciłem nogę, a jak wyrżnę gdzie jeszcze raz g'ową to mi już napewno odleci. Ale poświeć.

— Dobrze ale czem? Czy temi gwiazdami, które widziałem za dotknięciem tego tu oto (wskazując na potężną jodłę) „teleskopu“

— Dajcie spokój żartom, boli mnie doprawdy noga... Stach ma baterję...

— Ależ owszem musiały już nadejść świeże do sklepu... ale niestety... tutaj?...

Po długich mozołach wydostawszy się, przeszliśmy przez te „zaklęte miejsca“. Naprawdę myślałem, że jestem na Łysej a nie na Babiej Górze (obie mają podobno jedne właściwości). Jakieś tajemnicze zjawiska, olbrzymie wykroty, jak gdyby stoły powywracane po uczcie djabelskiej, albo po walce olbrzymów.

Trawy zakrywające nas zupełnie i ta ci. sza wielka, w której się spodziewa usłyszeć naraz, przeraźliwy śmiech dziwożony, lub nawet zobaczyć je tańczące przy watrze.

Stanąłem na olbrzymim pniu, naraz uczułem pod sobą próżnię i wrażenie, że lecę gdzieś w przepaść. Buchnęło na mnie stęchłe powietrze i masy próchna zatamowały okrzyk jaki byłby nastąpił.

Wyciągnęli mnie z tamtąd, ale w jakim stanie... tylko ciemność wie. Aparat jednak miałem pod zaciśniętem mimo upadku ramieniem.

Ale bodajbym go już był zgubił. Co on mi szkody narobił i utrapienia.

— Hej, cicho tam...

— Bolek słyszysz — szum — musi tu gdzieś niedaleko płynąć potok.

— Gdzieśmy mogli zajść...

— A może na Węgry?... wtrącił jeden z malców (słyszał coś o przechodzeniu przez Karpaty na Węgry). Powstała ogólna wesołość.

Urażony w swej ambicji geografa, mruczał jeszcze coś pod nosem, ale już nie słyszałem ponieważ zagłuszył go szum potoku. Zeszliśmy do niego a raczej według góralskiej piosenki, kończącej się słowami:

Ej zwiezie się na portkach
Ej nie ceba mu konia.

tak zwieźliśmy się i my, aż do samego brzegu potoku.

— Mali w środku, my część starszych na przodzie a część na końcu, żeby się nie pogubić.

Wszystko byłoby ślicznie, gdyby nie ten utrapiony aparat. To napewno musiało się stać przez niego. Zostałem na samym końcu to znaczy, tłumacząc na ludzki język, ostatni. Musiał się na mnie zawziąć ten bałwan, bo inaczej tego nie umię sobie wytłumaczyć.

Na środku potoku był kamień, na który trzeba było skoczyć i trafić. ponieważ nie było go widać. Ale już sie-dmiu skakało i obruszało go tak, że gdy ja skoczyłem zważył się i razem z nim wpadłem do wody I to do zimnej jak lód, z której mokry jak kura po deszczu, wygramoliłem się po odślizgłych kamieniach na brzeg.

I kto temu był winien, czy nie aparat?!... On! — był zupełnie suchy — kpił sobie teraz ze mnie. Koledzy okryli mnie nieboraka szczękającego zębami z zimna, jakimś kocem. Aparat i koc plątający się pod stopami powiększał moją gorycz. Las szumiał słowa pociechy dla mnie smutnego jak głaz i z myślami czarniejszemi od tej górskiej nocy. Nawet ten potok, który mi sprawił taką przykrość, użalił się nademną, wylewając kropelki wody rozbitej na pył o głazy i głaszczącej mnie delikatnie po twarzy.

Potrzeba było jednak iść dalej, a żale zostawić na później.

Nigdy w cyrku jako akrobata nie występowałem, ale tutaj, w tym karpackim lesie, o ile można to było w tych ciemnościach dostrzec, to jednak tak było. Droga, raczej w naszej wyobraźni niż w rzeczywistości była taka, że uszedłszy krok zjeżdżało się dwa, wykonując przytem jakieś karkołomne ewolucje. Bylibyśmy tak szli może aż do rana, ale że wszystko ma swój koniec, tak i to utrapienie się skończyło Wyszliśmy na wzgórze,

— Antek, to tu już chyba zostaniemy, odezwał się Franek.

— A no gdzie pójdziemy, kiedy ciemno, a zresztą wiemy to gdzie jesteśmy i gdzie iść.

— Zostańmy tutaj, zaczęły odzywać się pojedyńcze głosy. Zostaliśmy.

My trzej usiadłszy sobie na pniu, przykryliśmy się kocem na głowy, aby nie widzieć nic dokoła. Teraz dopiero zaczęliśmy rozmyślać nad naszą sytuacją wcale nie godną do pozazdroszczenia. Góry, puszcza odwieczna i strach, który zaczął teraz przybierać kształty duchów . . żmij ukrytych może nawet w drzewie na którym siedzieliśmy.

Jednakże te nasze obawy, przerwała rozmowa kolegów naradzających się co dalej robić.

— Rozpalmy ognisko.

— Dobrze dobrze . . . drzewa dosyć

— Ja idę już zbierać, wtrącił Stach.

— Ja także, — przytaknął Franek, wołając z sobą Bolka.

— Wy tymczasem przygotujcie miejsce . . .

Po chwili buchnął wesoły płomień. Słychoć było tylko syk pary uchodzącej z wilgotnego drzewa i trzask łamanych gałęzi

Zszedłszy z drzewa usiedliśmy kołem przy ognisku. Teraz zaczęła się bajka. Wspominam tyle o potędze lasu, o ciszy dzwoniącej w uszach naszych, ale doprawdy, cała dusza moja wypełniona jest tem dziwnym, nienaturalnym pięknem.

Dzisiaj spełniły sie moje, schowane na dnie serca, dziecinne marzenia. Znalazłem się w puszczy w nocy przy ognisku.

Zmęczony przejściami dnia i pod wpływem miłego ciepła, zacząłem zasypiać. Wrażenia jakie odniosła moja dusza podczas całej naszej dziwnej podróży, zaczęły przybierać inne kształty i barwy.

Śniłem o dawnych rycerzach, o wojnach .. młoda moja wyobraźnia przepełniona krwawemi walkami „czerwonoskórych", bohaterstwem „Ducha Puszczy", odtwarzała obie te minione obrazy, biorąc czynny udział w tym dziwnym zaprawdę życiu.

Naraz uczułem przez sen dotkliwy ból i budząc się usłyszałem krzyk.

Pierzchły moje marzenia , . . ale nie . . . co to . . . „Rączy Jeleń" tu ? . . . twarz ta sama . . , napęczniała gniewem, umazana czerwoną i czarną farbą . . .

— Raku ! . . .

Ależ nie . . . to przecież Józek. Był to rzeczywiście on, usmarowany węglem i pokrwawiony . . .

I cóż się okazało . . . oto moje namoczone buty, pod wpływem gorąca zaczęły się gwałtownie rozsychać i pękać Józek, który miał głowę obok moich nóg, dostał ćwiekiem i to najzwyklejszym w . . . twarz (od gorąca powypadały mi wszystkie), no i naturalnie prawem kaduka, grzmotnął mnie solidnie, wydając przy tej operacji dzikie krzyki i wymyślając mi od bałwanów, idj . . . i. t. d. „Marzyłem cudnie, srodze mnie zbudzono". . . a niech to licho porwie . . . tak jest już zawsze; kto silniejszy, ten ma rację.

O śnie nie było już mowy. Przebudzili się wszyscy, a także wnet przez gęstwinę zaczął przedzierać się szary świt Głuchą ciszę leśnego pustkowia ożywiły głosy zbierających się chłopców.

Była piąta gdy po uprzątnięciu obozu ruszyliśmy w drogę Ptactwa nie było słychać, jedynie na jednym z „koniopłaji" zobaczyliśmy stadko sarn, które pierzchło na nasz widok Głód dokuczał nam bardzo, ale nadzieja prędkiego powrotu do schroniska łagodziła go nieco. Po godzinnej prawie drodze po leśnych wertepach, znaleźliśmy się przy slupie granicznym . . .

Hen w dali, widać było oświeconą rannym, przedzierającym się z za chmur słońcem, Zawoję Pod urwiskiem na którym staliśmy, prowadziła droga do schroniska.

— Hej ! . . . hej ! . . . hura . . . wyrwało się z naszych piersi Po chwili już, jeden za drugim zaczęliśmy się zsuwać po stromym zboczu, ku drodze.

Twarze straszne . . . nie, nie . . . wesołe... usmarowane . . . oczy pałające radością, że to już nareszcie . . . ot za skrętem parę minut i schronisko.

Wbiegamy .. niestety nie, nawet nie wchodzimy Ciężkie okiennice zamknięte. . takie drzwi chyba na siedem spustów, nie puściły pod naporem naszych ciał Łomot u drzwi i nasze głosy, wywabiły gospodarza z ciepłej pościeli. Skrzypnęły zasuwy i rozczochrana głowa wy-

chyliła się ze sieni... czego?... dobiegło do nas jak bulgotanie...

— Czy śpi tu wycieczka, która była tu wczoraj?...

— Nie!..

— Nie??..

— Poszli na noc do Zawoji.

— A nasze plecaki?..

— Są.

Wbiegliśmy do sieni jak huragan, o mało co nie przewracając gospodarza.

— Są.. są.. (plecaki) krzyknął któryś wesoło.

— Ale św... zeżarli mi wszystko, usłyszeliśmy w następnej sekundzie.

— Mnie także.

— A bodaj ich.

— A no niema co, trzeba iść do Zawoji.

Zebrawszy się z bólem serca i wymyślając do wszystkich dj... tych „poczciwych", którzy w trosce o nasze zdrowie chcieli nam ulżyć zjadłwszy nam wszystko z plecaków, ruszyliśmy w drogę. Idąc, a raczej pędząc na złamanie karku, znaleźliśmy się wnet w Zawoji. Tutaj „zaprosiliśmy" się do górala na mleko („napchaliśmy się za wszystkie czasy"), poczem wynająwszy wóz pojechaliśmy do... Makowa na stację.

Za Zawoją widzimy.. ciemną kolumnę posuwającą się żółwim krokiem...

— Oni!.. okrzyk zamarł mu na ustach.

— Co to będzie... gdzie się tu schować...

— A niech się robi co chce..

Ja schowałem się na samo dno wozu i czekałem co to dalej będzie... naraz... o.. aż mi tchu btakło... wóz stanął. Patrzę przez szparę, a tu wszystkie oczy zwrócone na nas. Każdy patrzy jak gdyby pierwszy raz widział białych ludzi. Profesor zawoławszy jednego ze starszych, zwymyślał go tak, że biedaczysko ledwo wrócił na wóz.

Jednakże skończyło się na tym. Dosyć długo prawiono dziwy o ośmiu "Robinsonach", ale jak wszystko, tak i to poszło w zapomnienie

„Antoś"

W cichy wieczór nad kartami

Rozłożyłam na stole pasjansowe karty,
Chcę wyczytać z nich przyszłe swe losy, koleje,
Chcę wyszukać ślad wieszczby tajemnic zatarty,
Chcę zobaczyć czy spełnią się moje nadzieje.

Z niepokojem przebiegam oczyma głodnymi
Ten trójszereg waletów, dam, króli, dziesiątek
Liczę je niecierpliwie palcami drżącymi
I staram się odnaleść jednej myśli wątek.

Lecz tak mało, tak mało, znam się na kabale!
I tak trudno zrozumieć co karty mi gwarzą,
Mimo tego wciąż patrzę uważnie, wytrwale,
Z pochyloną nad stołem rozpaloną twarzą.

Koło niego czerwone, nie może być ładniej!
Dużo serca kochania i dużo radości...,
Przy mnie zato moc pików i trefli — nieładnie
Jakieś smutki, choroby, psychiczne przykrości...

Mniejsza o mnie! Szczęśliwam, że przy nim radośnie
Ale teraz położę sobie pasjanse,
A więc: as, siedem, osiem, dziewięć i liczę rozgłośnie
Chcę zobaczyć czy moje zwiększają się szanse.

Ja wiem przecież napewno, że karty nie kłamią
Więc się pytam z ufnością „czy kocha mnie wiernie?“
Ach! jak schodzą prędziutko! król leci za panią
Co?... stanęły?.. ? nie kocha? któż wierzy w te brednie!!?

Malina Chmielewska
kl. II. gim. żeńskie.

Zmierzch geniuszu.

W jednym z zeszłorocznych numerów naszego pisemka, ukazał się wiersz p. t. „Kochaj i wierz“, zapowiadający nieprzeciętny talent autora. Nic więc dziwnego że wiersz ten, spotkał się ze słusznym uznaniem i zainteresowaniem się osobą autora. Ogolnie przypuszczano że w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim ukazał się „genjusz poetycki“ w osobie koleżanki Łysakowskiej.

„Geniusz“ ten błysnął jak meteor i — zgasnął. Myślano że autorka spadła chwilowo z Pegaza, albo, że muzy odwrociły się od niej. Zachodziły również obawy że „autorka“ uważa nasze pisemko za zbyt małe pole do popisu. Tymczasem rzecz przedstawia się całkiem inaczej.

Przeglądając roczniki „Przewodnika Katolickiego“ znalazłem w 33 numerze z 1927 r. ten sam wiersz, z tą „nieznaczną“ różnicą, że był napisany przez kogo innego.
Nie potrzeba udawadniać, że Koleżanka mogła wiersz ten zamieścić w 1927 r w „Przewodniku Katolickim wszak wtenczas spędzała beztroskie chwile swej młodości. To jedno — drugie zaś — wiersz ten posiada za głębokie myśli jak na ówczesny wiek koleżanki.

Zdaje się, że koleżanka nie zdawała sobie sprawy z tego, że do rąk autora może się dostać dany numer pisemka, a wtedy ten, może się upomnieć o swoje prawa autorskie.

Pisemko nasze jak wiemy, istnieje na to aby w nim, młodzież próbowała swych sił, a nie umieszczała cudzych utworów. Wierzymy więc, że koleżanka po swym pierwszym niezbyt fortunnym, a zarazem szlachetnym wystąpieniu, nadal będzie współpracowała z naszym pisemkiem, i mamy nadzieję że jej własne prace spotkają się z podobnym uznaniem jak ów wiersz odpisany z „Przewodnika“.

Jasiek.

FELIETON.

Zawsze potrafiłem wczuć się w sytuację redaktora, któremu brak felietonu. Wiedziałem, że jest mu on potrzebny jak... kałamarze z korkiem jednemu z naszych pedagogów. Pojmowałem, że numer bez felietonu jest nudny, jak komunikat meteorologiczny, a pusty jak... świetlica gimnazjalna (wstyd!). Dlatego właśnie zdecydowałem się na ważny krok i pierwszy raz w życiu napisałem felieton.

Oczywiście poszło mi doskonale jak z płatka. Posłałem go natychmiast do „Nad Poziomów“ — „Napewno przyjmą“ — myślałem — „przecież mój felieton jest o całe niebo lepszy od tego kłębowiska banialuków i andronów jakie wypisuje jakiś tam kolega w M. M. w tasiemcowych artykułach „Od Bałtyku do Morza Czarnego“.— Wszak znany byłem z dobrego stylu. Nieraz z drugiego końca klasy przylatywała do mnie rozpaczliwa kartka: „Dziunek, w imię koleżeńskiej solidarności napisz mi zadanie, przynajmniej dyspozycję.“ Inna sprawa, że noty wypadały różnie, ale to już zawsze kładłem na karb braku zrozumienia u profesorów, którzy przecież zawsze prześladowali uczniów. Pod tym względem, większe kompetencje posiadają koledy. Zresztą każdy ma swój gust — co prawda czasem zwyrodniały, ale ma. Ale żeby we mnie nie znać wybitnych zdolności literackich!

Kiedyś zacząłem pisać całą powieść, przepełnioną poważnymi przemowami, zdaniami pełnymi złowróżbnych aluzyj, a zawiłymi jak arabeski. Była bardzo straszna, rozrzewniająca do łez i obfitująca w przepiękne momenta (wszystko to moim zdaniem). To prawda, że jej nie dokończyłem, ale mniejsza z tym. Każdy, naprawdę wielki pisarz czy poeta ma swoje dziwactwa. Tak więc napisałem i felieton. Miał dwanaście stron bitego druku! Czytałem go wszystkim, nawet służącej. Hołdy, składane memu geniuszowi przyjmowałem z niezachwianym dostojeństwem.

Byłem bardzo dumny, no i pewny nagrody.

Wprawdzie moja domowa opieka orzekła że go poprawi, ale ja zrozpaczony odpowiedziałem, że nie można przecież zmieniać pod żadnym warunkiem tego, co zostało niezniszczalnie stworzone pod natchnieniem w ekstazie i postawiłem warunek: „jeżeli mi zmienisz choć jedno słowo, to więcej nie pójdę na rynek po zakupy, (zawsze nienawidziłem tej czynności uważam to za ubliżenie mojej męskiej osobie“). Opieka już nic nie rzekła, tylko uśmiechnęła się jakoś dziwnie.—

Tymczasem mijał tydzień za tygodniem a felietonu w żadnym numerze nie było a odpowiedź Redakcji nie nadchodziła. Zacząłem się niepokoić. — „Jakto“ — czyżby się nie poznali na wartości tego utworu? Ej, chyba nie, to niemożliwe! W duszy mej błysnęła żarząca się wściekłość — ponure, a niejasne poczucie doznanej krzywdy i skupiona żądza zemsty.

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Zainterweniowałem u redaktora („organisty“). Tym razem nie długo czekałem na odpowiedź. W najbliższym numerze w dziale „Odpowiedź Redakcji“ przeczytałem: „Felietonu kolegi nie umieścimy, bo po pierwsze banalny, po drugie jak na nasze stosunki za słaby, a po trzecie trzecie... już... w koszu!“. Zbladłem. Oto znów mnie nie doceniono. Taki utwór! Czyż to możliwe??...

„W tej chwili umrę“ pomyślałem i uczułem, że serce moje ogarnia rozpacz. Do domu poszedłem zupełnie złamany na duchu. „Moja opieka“ zaczęła się na mnie gniewać, gdy nie chciałem nic jeść, a sprawdziwszy, że głowa moja pała żywym ogniem, kazała mi się położyć do łóżka.

„Mówiłam, że mu coś jest. Już w nocy spać nie mógł i rzucał się na łóżku. Nie daj Boże jakiej poważnej choroby.

— „E, nic mu nie będzie“ — machnął ręką brat z nad czytanej gazety. „Może się przejadł, w każdym razie daj mu oleju rycynowego“ —

Szalona gorycz zalewała mi serce.

„Baniak“ VIII b.

Muzyka kościelna - katolicka.

Chorał

Muzyka średnich wieków była wyłącznie o kościelnym charakterze. Należy odróżnić dwa pojęcia mieszczące się pod terminami: muzyka kościelna i religijna. Muzyka kościelna jest o tonie ascetycznym i treści czysto modlitewnej, natomiast muzyka o mało poważnej treści, lub formie często tanecznej zachodzącej w pastorałkach, co w niektórych kolendach jest muzyką religijną, nadającą się do wykonywania na scenie, estradzie, w domu, lecz nie w kościele. Utwory muzyki kościelnej są zawsze religijne.

Jak tworzyła się muzyka kościelna?

Początki muzyki kościelnej napotykamy w katakumbach. Pierwsi chrześcijanie modląc się wspólnie unikali rozgłośnych śpiewów, by nie zwrócić uwagi prześladowców deklamowali (1 psalmy na jednym dźwięku, odchylając go według uczuć zawartych w tekście cokolwiek w dół lub w górę. Była to prawdopodobnie pierwsza forma muzyki kościelnej W rocznicę śmierci pierwszych męczenników chrześcijańskich recytował modlitwy, chór mężczyzn naprzemian z chórem kobiet (w formie dialogu). Taka recytacja melodyjna przeszła z biegiem czasu w śpiew zwany antyfonarnym. Śpiew wiernych stosowany w formie odpowiedzi naprzemian z śpiewem celebranta, lub chóru kantorów (zawodowych śpiewaków kościelnych) zwał się responsorialnym (łac. responsum: odpowiedź).

W IV wieku św. Ambroży biskup mediolański wprowadził do liturgii hymny. W hymnach sławi się wielkość Boga. Św. Ambroży był sam twórcą wielu hymnów, tak, że od jego imienia hymny zwały się śpiewami ambrożjańskiemi. (ambrosianum). Twórcami hymnów byli również św. Efraim, Hilary.

W wieku VI. papież Grzegorz I Wielki zebrał i uporządkował wszystkie melodie pierwszych chrześcijan, nakazując je stosować przy obrzędach kościelnych po wieczne czasy; od jego imienia zwą się śpiewy pierwszych chrześcijan śpiewami gregoriańskiemi, a zwane w historji muzyki również chorałem od słowa chorus-chór.

Śpiewy gregoriańskie cechuje ascetyzm; są zaczerpnięte jakby z życia poza organicznego człowieka; śpiewa się je jednogłosowo. Jednogłosowość ich melodii jest symbolem jednej drogi i jednego celu ludzkości. Poczęte z ducha męczeństwa pierwszych chrześcijan, mają sygnat bezzmysłowości. Jakie korzyści odniosła Polska z przyjęcia chrześcijaństwa?

Polska przyjmując chrześcijaństwo w X wieku przyjęła obrządek łaciński wraz z śpiewami gregoriańskimi, bogatymi w różne formy, środki techniczne, podstawy teoretyczne, rozwijające się na południu i zachodzie Europy. Muzyka gregoriańska wypełnia w Polsce niemal całe centralne średniowiecze.

W wieku VIII napotykamy pierwsze przejawy harmonii, t. j. dorabianie zgodnych dźwięków do jakiejś melodii w XIV XV wieku wielogłosowość doszła do nadmiernego rozwoju. Do jednej melodii dorabiano kilkanaście, a nawet więcej linii melodyjnych, równocześnie brzmiących. W tej gęstwinie głosów ginęło słowo i zasadnicza melodia.

Palestrina największy kompozytor kościelny, żyjący we Włoszech w XVI wieku przeprowadzał reformę muzyki kościelnej, odrzucając balast tego baroku muzycznego melodię podporządkował pod słowo, uproszczoną harmonią zabarwił linię melodyjną tak, by główna melodia wraz z słowami dolatywały do uszu słuchaczy. Muzyka gregoriańska i muzyka palestrinowska są symbolami i wzorami muzyki kościelnej-katolickiej.

Współczesna muzyka kościelna przyjęła nowe barwy harmonii, tudzież nowe środki techniczne, nie cofa się jednak od prawideł muzycznych wytkniętych przez Palestrinę, szukając tematów w natchnionych tematach chorału.

1) Psalmy mają cele umoralniające

Znad polskiego wybrzeża.

Cd.

Do Jastarni „Piana" nasza przybyła dobrze po południu. Musieliśmy więc spieszyć się, aby wrócić jeszcze dziś do Gdyni. Jastarnia— wszędzie pełno letników, spacerujących w piżamach, a nawet w samych kostiumach kąpielowych. Robi to bardzo nieestetyczne wrażenie, ale trudno, trzeba się z tym pogodzić, chociaż budzi to odruch pewnego wstrętu. Do równowagi przywrócił nas widok prześlicznego kościółka. Wszędzie czysto, miło, ale najpiękniejsza to ambona, zbudowana w kształcie łodzi, na wzburzonych falach.

Tymczasem już dobrze pod wieczór udaliśmy się do przystani. Wiatr się wzmógł, a z nim i fala wzrosła. Niebezpiecznie było wracać przez za-

tokę wieczór. Położenie pogarszały jeszcze ołowiane chmury, przysłaniające widnokrąg. Lada chwila mogła się zerwać wichura i deszcz a w tym położeniu nie życzyłbym nikomu mieć pod sobą pięćdziesięciometrową głębię. Ale trudno— trzeba było koniecznie wracać.

— Będzie w nocy „storm“ zakonkludował mój towarzysz — lepiej zostać!

Ale uparłem się. Nasza „Piana“ napewno się nie da. Rozwinęliśmy żagiel na całą wysokość i prując teraz prawym halsem wysoką już fale, zmykaliśmy przed burzą. Ale jakieś zawistne fatum ciążyło na nas. Zaraz na początku zerwała się linka. Naprawa zabawiła nas kilka drogocennych minut. Tymczasem fioletowy dotąd obłoczek od strony morza, przekształcił się w potworną, czarną chmurę, podobną do brodatego Notusa. Dotąd zuchwała moja mina „zrzedła“, jak się to popularnie mówi.

„Piana“ poczęła się gwałtownie kołysać.

Burza wisiał w powietrzu.

— Może dojedziemy jeszcze!

Płynęliśmy już z dwie godziny, ale dotąd nic nie zamącało ciszy. Czarny Nokus zbliżył się znacznie i teraz wisiał nad nami, zataczając jednym skrzydłem. W oddali majaczyły światełka Gdyni. Ta „nieśmiałość“ burzy ośmieliła mię trochę, jednak czułem, że ta cisza nic dobrego nie wróży Czułem, że burza igra z nami, aby potem rzucić się na nas ze zdwojoną wściekłością. W tej chwili minęliśmy boję, a więc do brzegu już niedaleko. Nabrałem otuchy, że wyjdziemy cało, chociaż „Piana“ coraz gwałtowniej tańczyła po grzbietach fal. W powietrzu jakaś wystraszona mewa zaśmiała się, jakby „nabijając się“ coza wariaty teraz jeżdżą po morzu.

— Nie ma strachu — i miałem zamiar zaproponować towarzyszowi, aby się napił herbaty z termosu, gdy wtem zatoczyłem się i upadając wyciągnąłem rękę. Chwyciłem się masztu, aż zachaczyłem swetrem o uchwytkę. „Piana“ przechyliła się i lewą burtą nabrała wody.

Cudem tylko powróciła do równowagi Zciemniło się zupełnie. Silny wiatr zacinał rzęsistym deszczem, przenikającym do szpiku kości.

Maszt wraz z jolką pochylał się raz w tą to w tą stronę. „Piana“ poczęła swój szaleńczy taniec. Ale kaszub nie stracił swej zimnej krwi. Co chwilę zwrot na dziób, to znów na rufę. Wiatr gnał nas naprzód. W dzikim paroksyźmie podskoków wzburzonych fal, co chwilę wlewających się do łodzi, parliśmy naprzód, ale czy do brzegu? Cały czas siedziałem skulony na dnie jolki, aby nie przeszkadzać w manewrowaniu masztem i modliłem się, by jak najrychlej znaleść się na brzegu i aby „rozświt dnia biały, prędzej rozbłysnął na świecie“ Coraz gwałtowniej hulaliśmy po falach.

W tem usłyszałem

— Uwaga!

Ale zanim się spostrzegłem co, jakaś niewidzialna siła wyrzuciła mię z jolki. Jakaś płachta owinęła mi głowę— upadłem. Poczułem pod sobą piasek.

— Brzeg!

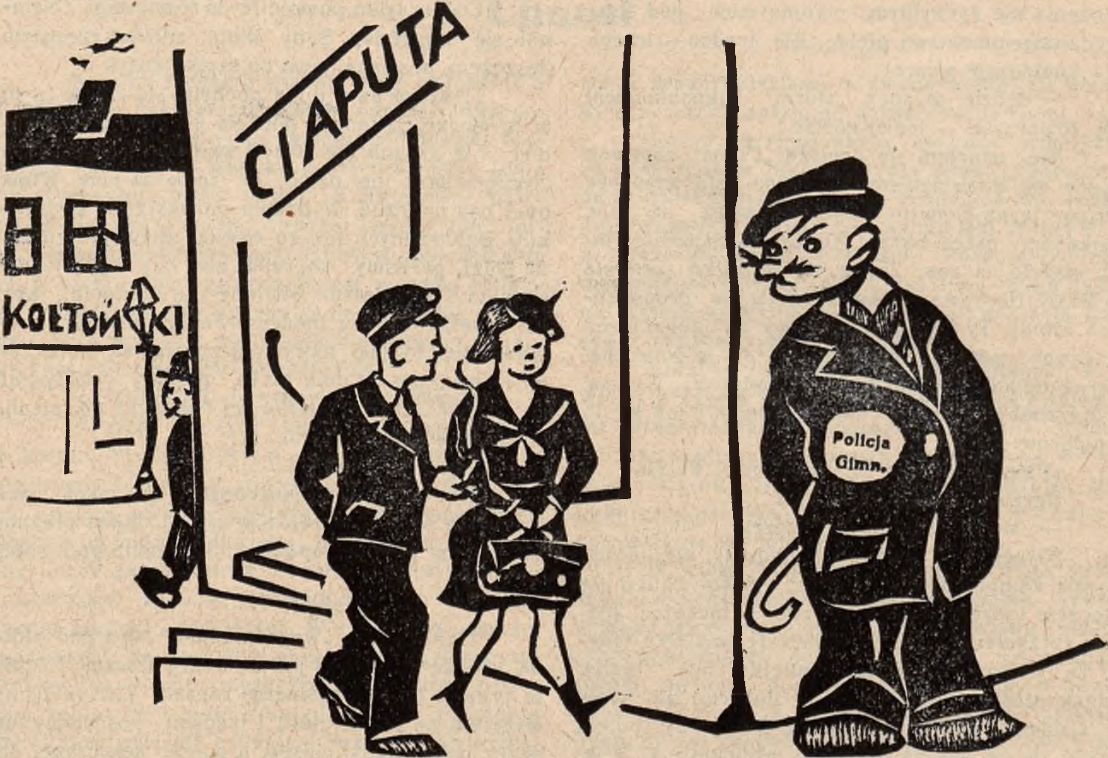
Ochłonąłem. „Wygramoliłem“ się z pod płótna „Pianę“ wyciągał już na brzeg Kaszub. Rozbita prawa burta i złamany maszt. Zostawiliśmy wszystko na pastwę losu i biegiem puściliśmy się przez nadbrzeżny piasek, a potem leszczynę, do najbliższej chaty rybackiej.

— — — — — — — — — — — —

Dopiero na trzeci dzień poszedłem zobaczyć swoją „Pianę“. Ale stary Kaszub już się nią zaopiekował i dziurę załatał. Na tym skończyła się moja Odysseja. Od tego czasu nie wybierałem się już nigdy wieczór nad morze.

Ananas 13.

HUMOR.



Wikczyne imieniny.

Z cyklu „Zwyczaje, obyczaje i charakter wsi krakowskiej"

Gwara okolicy Oświęcimia.

Wikta wyszła z chałpy po wode Śnieg iskrzył się, niby tyn „kryzbon" u państwa na Gody. Skrzypioł pod nogami, a nie topnioł, choć słońce poliło go swymi promieniami z samiuśkiego wiyrzchu nieba. Było południe. Niebo wisiało blado-modre, kiej ta Wisła niekiedy w lecie. Ej! piyknie ci było i wesoło na świecie w tyn dziyń zimowy, ale w sercu Wikty nie było raźno... szary smutek siod na biydnym sercu, niby ta ćma co wieczór nadchodzi... Bo i z czego się miała cieszyć? Ej!! nie tak bywało po inne roki w jeji imieniny... Jasiek zawsze przyszed, a naznosił różności. Dyć jeszcze mo zygarek srybny i kulczyki z modrym żabioczkiem — po nim. A na „kryzboń" co to zawsze naznosił! Świyicidełka, czekulady, różności! Nikaj nie bywało we wsi „kryzbonu", ino u nich. Jakże— najbogatszy parobek chodził do najurodziwszej dziewki...

Wikta patrzała jak woda przelywała sie z wiadra, a nic nie widziała. Jeji myśli były kaindzij — tam, przytych downych, dobrych czasach, przy Jaśku... Jeszcze przed rokiem było tak dobrze, a teraz?

Oj, miną już wesela dlo ni, nima!

Tatuś umarli jakoś zaroz po Godach, a wiadomo, nieszczyści chodzi w porze. Na wiosne spoliła sie chałpa. Matka sprzedali coś gruntu, żeby na zimę chałpe odbudować. Chałpa stanęła już pod jesień, ale gruntu ubyło z po-

łówke, choć go i tak nie było wiela Zaś staro Wawrzonowo bo jakby na to czekała. Jużci zaczęła wyśmiywać Jaśka, co to do takij dziejwki chodzi ktoro ostatnich kiecek dodziyro. A przecie chciałyby go i inny dziołchy, choć może nie takie urodne, ale za to nie taki bidoty ostatni. A co to uroda! Przeleci jako ta woda z Wisłom do morza i już nigdy nie wróci!

Wikta przygryzła warg. Jej gęste, czarne brwi zbiegły sie nad czołem A jednak Jasiek nie bydzie Stefczyn! Jeji nie bydzie, ale nie bydzie i Stefczyn! choć ta staro małpa tak zabiego o niego dla tej swi curuni... Ale i Jasiek? Tak przyrzykoł, a przyszła jedna tako staro z pyskiym, i. koniec. Gorzkie łzy spłynęły po licach Wiktv.

Dobre południe — Wiktuś!

Cóż to Jasiek się tak do ni odezwał?

Ale ona mu nie pokoże. że go żałuje!

Witajże! — odburknęła.

Jasiek szed z drzewkiem na plecach. Pewnie u siebie zrobiom „kryzban“ A pogwizdowoł i śmioł sie do ni.. O już dochodzi do swi chałpy a „fort“ gwizdo.

Cóż to, urągo mi czy co?

Wikta wzięła wiadra i znowu zmarszczyła brwi.

Nie dom sie! — pomyślała.

Lichy kaganek oświycoł wnętrze małej, lecz czyste, izbebki. Wikta z matkom skubała pierze. Samiuteńkie były w całej chałpie. Juści biednych nikt nie odwiedzi, nawet w ty długi zimowe wieczory. Po inszych chałpach teraz gwar bo skubią pierze. Ale nie we dwie, iak one, ino w dwudziestke czasem. A co to gwaru, śmiechu a przekomarzań.. Chłopoki to przygrywajom na organkach abo na harmoniji coby sie dziołchom lecyj robiło. A jak wyskubiom to robiom „wyskubek“. Też sie to ubawiom, a uśmiejom, a utańcujom... a muzyka przygrywa, a wino sie leje...

Ale to wszystko nie dlo ni, Wikty... Oj, już przeszły ty czasy...

Tak jej myśli przerwało pukanie do drzwi.

Prosze! — dźwignęła głowe z nad roboty. Do izby wszed ujek stary Jaśka i som.. Jasiek. Wikte obloło krwiom po same uszy, ale zaroz podsunęła czystom ławe gościom. Przybyli usiedli i stary ujek odkrząknąwszy, zaczon, Może wom i dziwno, co my po tak długij niebytności wos odwiedzili. Ale godojmy jak sie rzecmo. Otóż Jasiek chodził do Wikty, głowe ji zawracoł, a potem odszed i nie pokozoł sie wiyncyj Jušci, była tu i głupota chłopoka, który — jak to młody i niedoświadczony — słuchoł, co mu ludzie pletom Ale była też i jego racja, bo stateczny chłop to się namyśli, zanim sie zdecyduje na taki ważny krok w życiu.. Dyć sami wiecie ze ożenek to nie bele co..

To też myśle, że Wikta nie bydzie mu krzywo, skoro w jeji imieniny przyszed na zaloty.. Stary wyjon flaehe z kieszeni i postawił na dębowym stole. Pierwszy kieliszek wypił Jasiek, aje aże sie cały trząsł, coby go Wikta nie odsunęła.

O, bo i miała za co!

Ale Wikta miała lica rozpogodzone, kieby w kościele, albo co... Wypiła też podany kieliszek..

Po tym już pili i gwarzyli, zaś młodzi ciongle spoglondali na siebie. Wikta przymykała swi wielkie a modre oczy, kiej on na niom spojrzał.

Ej, miałaż to radości w sercu — miała!

Wikta leżała już w łóżku. Ćma było w izbie, ino miesiąc zaglondoł jednym promieniem i kłod biołom smuge na bielonom ściane.. Wikta ni mogła usnąć. Więc to jom a nie Stefke Wawrzonowom spotkało taki szczyńscie...

Wikta postawiła na swoim. Ale choćby Jasiek nie wrócił do ni toby i tak nie był Stefczyn.. Znowu zacisnęła wargi i zmarszczyła brwi. Hej! nauczyło jom tej hardości życie...

Nauczyło jom to słońce, co w lecie tak w czas wstawało, a ona razem z nim. Nauczyła jom ta ziemia, co ji trza było dać tela potu krwawego... Nauczyło jom to twarde, chłopskie życie...

Ale teroz radość rozpiyno ji serce w piersiach.

Hej! były ci to imieniny, najpiękniejsze w jej życiu...

St. Baranówna gimn. Oświęcim
kl. VII.

Tęsknota Polski za koloniami.

Rytmicznie pluszczą i w brzeg biją fale
Syczącą pianą zalewają piaski.
Myśli mkną chyżo poprzez morskie dale
Tam, gdzie na wodzie tańczą słońca blaski.

Wielka równina wodna w dal ucieka,
Z niebieskiem kędyś styka się sklepieniem,
Niezmierna przestrzeń i dusza człowieka
Łączą się w jedno pod wieczności tchnieniem.

O wielkie morze! Ty drogo bez końca!
Co w świat rozległy prowadzisz okręty,
Kiedyż świetlisty szlak złotego słońca
Powiedzie floty nasze przez odmęty?

Kiedyś powiedzie je, jak inne wiedzie
W kraje odległe, ale przecież własne,
Gdzie Państwa łatwiej czoło stawią biedzie,
Gdy im granice stają się za ciasne!

Bo tam o trudzie i pracy człowieczej
Bogactwo dzikiej jeszcze śni natury,
Tam duch z ospalstwa i ciało się leczy,
Lot ku potędze porywa do góry...

Tam na niedolę szerokich mas ludu
Szybkie i dobre znajdzie się lekarstwo,
A państwo nasze, wśród pokoleń trudu
W wielkie, światowe zmieni się mocarstwo!

Mahabharata.

Poezje opomiczne.

Mędrzec gorliwie zbiera jako żniwiarz kłosy,
Na wszystkich polach świata —wielkich myśli głosy.

Człek podły zwykł dostrzegać cudze winy liczne,
Choćby tak były drobne jak ziarno gorczyczne,
Lecz swoich własnych grzechów w słowie albo czynie,
Nie widzi, choćby wielkie były, jako dynie.

„Ten jest podły!" Czyż kto śmiechu godniejszy.
Niż ten, który tak mówi, sam będzie podlejszy?

Kto nieustannie siedzi w ksiąg uczonych szkole,
Ale w rozumie własnym nic mu się nie mieści,
Ten jest, jak owa łyżka kąpana w rosole,
Co nie zna smaku zupy, woni jej i treści.

Komu Bogi przeznaczą zagładę sromotną,
Temu rozum zmięszają i do reszty dotną —
Tak, iż wszystko mu stroną widzi się odwrotną.

Kto jest żądz niewolnikiem, kto zwalczyć nie może,
Grzesznych rozkazy zmysłów w pokalanej duszy.
Temu rychło się rozum na szczęty pokruszy,
Jak okręt, gdy nim wstrząsa rozwichrzone morze.

Mistrzem woźnicą zaiste jest ten, co żądze zmysłowe
Opanował wędzidłem mądrości, jak konie cugowe.

Kto innym i postaci i mocy zazdrości,
Kogo ich ród udręcza, fortuna, znaczenie:
Ten wiecznie w dobrowolne strąca się ciemności—
I tak cierpi jałowo — ciągle — nieskończenie.

„Noc przeszła. Jasna zorza rozświeca niebiosa.
Słońce lśni. Róża wodna czarownie rozkwita".
Tak mówi pszczoła, siedząc w kielichu lotosa.
W tem cały kwiat wraz z pszczołą, słoń swą trąbą chwyta.

Kto żyje wśród szlachetnych, godność od nich zyska.
Kropla rosy w całości — jako perła błyska.

Gdy osieł dźwiga ciężki wór złotego piasku,
Wie, że ciężar ma wielki; nie zna jego blasku.
Tak po oślemu błądzi ten, co księgi czyta
Niezliczone, a treść ich zawsze mu zakryta.

Choćbyś przeszyty był opatów tysiącem,
Nie zginiesz przed swym określonym końcem.
Lecz gdy dzień przyjdzie twych losów wyroku,
Choćby od lichej trawki legniesz w mroku.

Grotem zadana, zagoi się rana,
Odrosną bory, ścięte przez topory,
Ale złośliwe słówko — niby jad — kaleczy.
Rany, zadanej słowem, nic ci nie uleczy.

„To zrobiłem" — „To zrobię" — „To zaczęte skończę„
W tem wśród trosk, nieczekany schodzisz, śmierci gończe!

Noc po dniu następuje, dzień po nocy świta,
Rądość idzie po smutku, żal z śmiechu wykwita:

Niesłusznie język językiem się zowie,
Jeśli w szlachetnym nie jaśnieje słowie.
Jest to ukryta w gębie mięsa sztuka,
Z trwogi by nie wpaść w głodne gardło kruka.

Ten co w dół zawsze patrzy— bywa pełny pychy,
Kto na niebo spogląda— ten się czuje lichy.

My a krytyka.

Przeglądając prasę kilka razy natknęłam się na sąd o naszym pisemku „Nad Poziomy". Krytyka ta była najwięcej jednobrzmiąca. Otóż ton naszego pisemka jest bardzo miły, szalą zewnętrzną i wewnętrzną — ładne, ale.. pisemko obrachowane jest na zainteresowanie klas niższych. Koledzy z naszych klas mniej znajdą w nim rzeczy interesujących. Według mnie ocena pisemka jest najzupełniej słuszna. Za dużo mamy w pisemku rzeczy lekkich, a za mało artykułów poważniejszych, tyczących zwłaszcza współczesności. Pewnie, że jest nas mało, (tylko dwie szkoły średnie) i jest nam o wiele trudniej zgrupować odpowiedni materjał na poważniejsze tematy, niż pisemkom szkolnym, które są redagowane przez 5-10 szkół średnich. Niemniej jednak powinniśmy się więcej starać, aby nasze pisemko zainteresowało szerszy ogół Trzeba, aby więcej nas (zwłaszcza starszych) zabrało się do roboty, aby pracę nadrobić. Napewno jest między nami więcej talentów. pisarskich, których właściciele dlatego tylko nie piszą, że jeszcze

nie spróbowali, albo nie mają odwagi zacząć. A tematów poważnych dużo, na które albo wcale, albo bardzo mało zamieszczamy artykułów w „Nad Poziomach". Są między nami chyba tacy, którzy interesują się współczesną literaturą, zwłaszcza polską, dobrzeby więc było, gdyby się zechcieli podzielić swymi wiadomościami ze wszystkimi. Inni mogą umieszczać artykuły z dziedziny fizyki, matematyki, czy techniki i współczesnych wynalazków. Możeby coś z psychologii o temperamentach i. t. p. Przemiła dziedzina. Albo tematy o sztuce, której tak mało poświęcono miejsca w programach szkolnych, a która przecież tak żywo nas obchodzi. Ważną też sprawą są stosunki społeczne o których nie piszemy prawie że nic. A ileż tu można znaleść tematów np. w cyklu „Wieś polska" Młodzicż chrzanowska i oświęcimska, choć żyje w otoczeniu wsi, nic prawie o niej nie wie. Czasem to nawet śmieszne są poglądy na stosunki na wsi tej młodzieży, która tyle może mieć styczności ze wsią. Dobrzeby więc było, aby koledzy z prowincji zechcieli napisać coś na temat czy kultury wsi polskiej, czy jej uprzemysłowienia, czy też zwyczajów i obyczajów. Tematów znalazłoby się mnóstwo chodzi tylko o dobre chęci. Tym sposobem pisemko nasze zainteresowałoby waszych kolegów a może i społeczeństwo. Znalazłby w nim coś dla siebie i literat i fizyk i psycholog i esteta i społecznik...

Dążmy więc do naprawy stosunków, a wszelkiej krytyki nie przyjmujmy z oburzeniem, ale z rozwagą i zainteresowaniem, a napewno dobrze na tym wyjdziemy.

Bo nasze pisemko to jakby dziecko jeszcze, które niebardzo zna innych ludzi (prasę) i i od naszej woli zależy dać mu taki czy inny charakter. A musimy pracować usilnie, aby to nasze dziecko, któremu na imię „Nad Poziomy" wyrosło na obywatela z charakterem, któryby nam sprawił wiele radości na starość, a wszystkim innym podobał się z poczynań i dobrego charakteru.

P. S. Pozwalam sobie przesłać Szanownej Redakcji serdeczne życzenia dalszej, owocnej pracy. dziękując równocześnie za to, że pozwala nam przez swą pracę mieć swoje własne pisemko.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

St. Baranówna.

Do St. Baranównej.

Przeglądając artykuły kilka razy natkąłem się na artykuł „My a krytyka". Ton jego jest bardzo miły choć trochę jednobrzmiący. Koledzy z wszystkich klas wogóle nie znajdą w nim nic interesującego, bo właściwie to wszystko już słyszeliśmy po wielekroć razy. Za dużo mamy rzeczy lekkich... Przecież to my sami t. zn. studenci piszemy, więc to tam musi być cośmy napisali. Nie rozumię również co znaczy współczesność. Czy kwestia żydowska, czy stan polityczny Europy, czy co. Ja sądzę że współczesności mamy wszyscy dość. Lepiej się wyrwać do tych czasów, które były, lub śnić o tem. co będzie. Jeżeli są jeszcze jacyś „właściciele talentów" jak ich Koleżanka nazywa, to zdaje się, że swoje talenty zakopali do ziemi i zardzewiały im tak, że nie są już do użycia. Literatura współczesna poza kilku wyjątkami nic wartościowego nie przedstawia. Przecież chyba nie ma koleżanka na myśli tych „nowych" arcydzieł?

Dobrze by było również spojrzeć tak na rzecz z psychologicznego punktu widzenia. Zbytecznie, przemiła dziedzina. Albo może z punktu widzenia pedagogiczno dydaktycznego napisać coś takiego, żeby skończyć z tym tandeciarstwem umysłowym, rozchuśtać umysły, a w sercu wzniecić trwogę? Tu mię trochę zawiódł mój spokojny temperament i poniosło mnie.

Koleżanko, przecież psychologia to cała nauka. Do tego trzeba mieć przygotowanie. Jeżeli Koleżankę interesują te rzeczy, to dosknale przysłużyć się może Jerusalema „Wstęp do filozofii". Stosunki społeczne. Znów mnie to podrażniło. To co Koleżanka pisze jest pełne oklepanych frazesów. powtarzanych, na każdej akademii i uroczystości. Całość zaś napisana jest naiwnie, jakimś mentorsko-wyrozumiałym i łaskawym stylem, co czyni razem bardzo miłe na zewnątrz wrażenie. Nawet i nuta troskliwego macierzyństwa też w tym tkwi. Powinno jednak było być wszystko zakończone okrzykiem na cześć tego dziecka: „Niech żyje", a w niczem nie od-

chylałoby się już od teraźniejszej „twórczości literackiej", podając nam równocześnie delikatnie kierunek w jakim powinniśmy pracować. Rację ma Koleżanka, jeśli chodzi o wieś. O tem możnaby pisać.

P. S. Redakcja po zastanowieniu się i rozważeniu wszystkiego dziękuje za uwagi, pozwalając sobie zasłać równocześnie nawzajem życzenia dalszej owocnej pracy i „wesołych świąt".

Zdzisław Drbout.

Dział rzeczy ciekawych.

Jak się zabezpiecza półwysep Helski przed przerwaniem.

Bardzo ciekawe prace kontynuowane są obecnie na półwyspie Helskim pomiędzy Chałupami a Kuźnicą araz pomiędzy Kuźnicą a Jastarnią. Prace dokonywane są przez Urząd Morski i polegają na wytworzeniu sztucznych wydm, a zarazem umocnieniu brzegów półwyspu, na tych odcinkach, które ulegają niszczącemu działaniu morza w czasie sztormów. Tworzenie sztucznych wydm i umacnianie polega na tym, że wykopuje się u podstawy wydm rów głębokości 3 metrów, a szerokości 2 metrów. Do tak przygotowanego rowu, przy pomocy motorowego kafara wbija się potężne słupy w pewnych odstępach, a pomiędzy nie zakłada się dopiero faszynę, głazy i piasek. W ten sposób powstaje wał ochronny, który dzięki ustawieniu faszyny poprzecznie, stanowi skuteczną zaporę przed wtargnięciem morza w głąb lądu. Tak umocniony brzeg stanowi opór dla lotnych piasków wydmowych i plaży, które na nim usypują nowy wał wydm. O szybkości powstania w ten sposób wydm najwymowniej świadczy fakt, że zabezpieczenie pod Chałupami w części jest już zasypane i tworzy masywną wydmę. Nad całością prac czuwa z ra-

mienia urzędu morskiego kontroler wydm p. inż. Jastrzębcki z Rozewia oraz strażnik wydm p. Klemens Dettlaff z Chałup.

Co należy wiedzieć.

Obecnie buduje się w Polsce dwie tamy rzeczne. mające na celu zapobieganie powodziom, a równocześnie dostarczanie Polsce taniej energii elektrycznej. Jedna z nich jest w Porąbce na Sole, druga w Roznówie k. N. Sącza nad Dunajcem. Tę w Porąbce budowano do niedawna w własnym zakresie, ale ponieważ praca przedłużała się w nieskończoność budowę oddano Polsko—Francuskiemu Towarzystwu Robót Hydraulicznych, które od początku buduje tamę w Rożnowie. Jest to to samo towarzystwo, które wykonywało roboty hydrauliczne w Gdyni: Francuzi mają w nim 88% udziału, a Polacy 12%. Co jest jednak smutne to to, że kapitał polski jest przeważnie żydowski!

Tama w Rożnowie jest 4 razy większa niż w Porąbce, budowa jej obliczona jest na 4 lata. Prawdopodobnie elektrownia w Rożnowie dostarczać będzie prądu elektrycznego dla projektowanej elektrycznej linji kolejowej Kraków—Zakopane. Praca prowadzona jest z wielkim rozmachem i sprężystością oraz najnowszymi środkami technicznymi. Tama będzie 50m. szeroka i 50m. wysoka w poprzek całej szerokości koryta Dunajca.

Myśli.

Zazwyczaj nastrój duszy wylewa się na zewnętrzny świat, na oblicze otaczającej przyrody i po swojemu się barwi. Gdy człowiek smutny, napawa tym smutkiem wszystko naokół i nawet jasne, wesołe blaski nie oznaczają dla niego radości. Z drugiej jednak strony i sama przyroda działa nieco na nastrój wewnętrzny. Dzień pochmurny, otoczenie pozbawione powabu, zgoła brzydkie, zasępi trochę człowieka będącego w wesołem usposobieniu, smutnego pogrąży jeszcze bardziej. Są miejsca na ziemi i takie, gdzie zjawiska i piękno przyrody występują z taką mocą, że one raczej działają na duszę nie zaś przeciwnie. Miejsca te działają czasem po czarodziejsku i wręcz zbiedzoną duszę leczyć mogą.

* * *

Wszechświat i dusza ludzka mają to podobieństwo w stosunku do ludzkiego poznania, że znamy prawa natury, objawy życia w świecie, strukturę i wpływ na siebie (nie wszystkich może jeszcze) ciał niebieskich i ziemskich (nauki przyrodnicze), a początku wszechrzeczy nie znamy. Tak samo objawy i prawa życia duchowego objaśnia i systematyzuje nam nauka (psychologia), a nie znamy natomiast samej istoty i początku duszy.

Jakże dziwny jest los dusz ludzkich, które muszą dociekać wiecznie i wątpić czy same istnieją. Dziwne i to jest, gdy dusza chcąc się przekonać o swoim bycie zdaje się tylko na rozum, będący jedną (i to nie największą z jej władz.)

Kto się pogrąża w metafizyce i za jej pomocą chce rostrzygać rzeczy nadzmysłowe, niechaj lepiej wierzy poetom, biorąc od nich wprost i tłomacząc bez allegoryi to, co oni sami nawet za symbol uważają. Metafizyka bowiem w stosunku do poznania (nie praw lecz początku) daje te same wyniki co poezya. Lepiej więc iść za poezyą, bo ta przynajmniej ma formę piękniejszą i zresztą ma wartość jako poezya-sztuka. Metafizyka zaś jest tylko prozą.

Czemu cały ciąg bytu ludzkości aż do dzisiaj istnieją religie, czemu ludzie wiecznie zadają sobie te same pytania co do początku i i celu świata i duszy, dlaczego i skąd powstał ten wyraz dusza? Czemu pytania te sprawiają udrękę i zatruwają życie rozumnym i twórczym duchom? Czemu zwierzęta wolne są od tych mąk myślowych? Ja myślę że dlatego, iż nie mają duszy.

Zdaje się w takim razie, że dusza (wskutek jakiegoś niepojętego i wiecznego wyroku) dana jest człowiekowi (kierującemu się tylkoli rozumem) za ciężką cenę wątpienia o jej bycie. Wiara jest dobrodziejstwem ludzi wielkich uczu

ciem (wskutek łaski losu i osobistych talentów) i ludzi głupich (wierzących na ślepo), którym rozum nigdy i nigdzie przeszkód nie stawia ani zatem bólów nie zadaje.

Początek świata przechodzi siłę rozumu, gdyż jest cudem. Z niczego musiało coś najpierw powstać, lub coś było od początku, co również jest cudem dla rozumu niepojętym.

Ciało ludzkie młode, kwitnące pododne jest do wody źródlanej, ciało stare, zwiędle do wody mętnej, ciało umarłe do wody zużytkowanej już i cuchnącej Jak jednakowoż z wody zużytkowanej i pozornie już na nic niezdatnej, wnętrze ziemi urabia napowrót wodę źródlaną, tak z ciał umarłych ziemia z biegiem lat wydobywa pierwiastki służące do wegetacji i rozwoju innych żyjących ciał. Jak woda źródlana z brudnej, tak z ciał umarłych powstają pośrednio nowe organizmy. Nic bowiem w przyrodzie zatracić się nie może bez śladu. Zatracenie w nicość byłoby cudem równym powstaniu z niczego. Nie giną więc ciała a miałyżby ginąć dusze?

Teatr i sztuka.

18-tego b. m. została odegrana dla młodzieży w Krakowie w teatrze im. Słowackiego tragedia Szekspiry p. t. „Otello" z Junoszą-Stępowskim w roli tytułowej. Gra nie była tak wspaniała, jak się wszyscy spodziewali. U Stępowskiego brak większej różnicy w oddaniu uczuć w scenach początkowych i końcowych. Rola zapewne trudna i wymaga tak wielkiego artysty, aby ją odegrał jak i publiczności, aby tę gre zrozumiała. Całkiem dobrze wypadła rola Jagona, postaci przypominającej łudząco Fr. Moora ze zbójców, którą kreował Karbowski, natomiast Desdemona była zupełnie słaba.

Szukalski w Pałacu Sztuki w Krakowie.

Od pewnego czasu nie schodzi niemal z ust nazwisko Szukalskiego, w związku z wystawą prac jego oraz jego szkoły w Pałacu Sztuki.

Z obrazów widać, że mamy do czynienia z talentem, który pragnie czegoś i stworzył coś całkiem orginalnego.

Jest wiele dzieł, które są rzeczywiście godne podziwu i przemawiają swą potęgą, Wiele jednak jest takich, które, aby je publiczność zrozumiała, sam autor objaśniał po pół godziny. Całość jest twórczością wybitnie impresjonistyczną.

Po zwiedzeniu wystawy doznaje się jakiegoś przygnębienia. Jako końcowy efekt musi się przyznać, że jest to wszystko pracą wybujałej chorobliwie wyobraźni, która już nie oddaje, jak chcą tego naturaliści, prawdy życia, lecz wyszukuje w nim same brudy, niespełniając wzniosłych celów sztuki, uszlachetnienia i podniesienia ludzi ku czemuś wyższemu. ??

Dział Rozrywek Umysłowych

Rozwiązanie z Nr. 1

Nieszczęście łamie, boleść dzwiga.

1	Niasa	16	Idaho
2	Ideał	17	Boyle
3	Europ	18	Bojar
4	Satyr	19	Order
5	Znicz	20	Lyrol
6	Cyrus	21	Efelet
7	Zefir	22	Śluza
8	Groblę	23	Ćwiki
9	Świta	24	Dairo
10	Czajka	25	Miedi
11	Istar	26	Wezyr
12	Loche	27	Jaleo
13	Ładon	28	Grypa
14	Amper	29	Agape
15	Małże		

Złej woli niewola.

K	R	Z	E	M
C	Ł	O
A	F	E	K	T
F	A	B	J	A	N	E
P	A	S	Y	W	I	S	T	A
F	I	L	O	Z	O	F
T	A	L	E	S
L	I	N
O	N	A
G	W	I	N	T
M	A	N	E	K	I	N
B	I	W	A	K
D	O	K
R	E	F	L	E	K	S
K	I	L	O	A	M	P	E	R

Komitet redakcyjny: Oświęcim: Szczerbowski T. Bireda Wl. Kula T. Demkówna H. Batkówna K.
Chrzanów: J. Proskowiecka, Druciekówna H. Wilkosz M. Moliński Bucki Z. Czerwonka J.
Wydawca: Administracja „Nad Poziomów“ w Chrzanowie.
Drukarnia Zagłębia Krakowskiego; Karol Bazarnicki Jaworzno, ul. Sienkiewicza 348.